

Dzień po dniu wyruszałem ze swoim tłumaczem samochodem i na piechotę, aż w końcu poznałem całe miasto. [...] Początkowo musieliśmy się obawiać tylko bomb. Zazwyczaj spadały seriami i mniej więcej trzydzieści minut po bombardowaniu mogliśmy względnie bezpiecznie przenosić się z miejsca na miejsce. Człowiek może się przystosować niemal do wszystkiego. Ale od 13 września niemiecka artyleria miała w swoim zasięgu serce miasta i sprawy zaczęły się układać naprawdę źle. Lotnicy podawali dokładne odległości artylerii, która była w stanie precyzyjnie ostrzeliwać główne ulice na całej ich długości. Najwyraźniej nie chodziło o niszczenie budynków, ale zabicie lub zranienie jak największej liczby pieszych. Być może niemieccy oficerowie powiedzieliby, że ich jedynym celem było uniemożliwienie ruchu wojsk w Warszawie. Owszem, miało to miejsce, ale w mieście zawsze było pięć – dziesięć razy więcej cywilów niż żołnierzy.

Poza tym wydaje się, że istniał plan obniżenia morale całej ludności przez uniemożliwienie jakiegokolwiek ruchu kołowego oraz pieszego i zapędzenia wszystkich, żołnierzy i cywilów, pod ziemię. Ogólnie rzecz biorąc, pociski wyrządzały niewielkie szkody budynkom. Zasadniczo były one małego kalibru 75, 120 oraz 150 mm i ich zapalniki ustawiano tak, by wybuchły w powietrzu nad głównymi ulicami, a ich odłamki zabijały i raniły wszystko, co żyło na dole.